

# Trauma

AUTOR: ANNA JAZGARSKA

**Olsztyńska adaptacja** uhonorowanego Nagrodą Literacką Nike 2018 eseju Marcina Wichy opowiada o wielkim rozczarowaniu słowem. To zapis swego rodzaju „dziadów”, próby pojednania Narratora z Matką i sobą samym.

■ „Co z tym wszystkim zrobisz?”, „Słowa ich zawiodły. Słowa ich okłamały”. Jeśli miałabym wskazać interpretacyjny klucz do przedstawienia *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* Łukasza Barczyka, byłyby nim te dwa zdania. Bo olsztyńska adaptacja uhonorowanego Nagrodą Literacką Nike 2018 eseju Marcina Wichy opowiada o wielkim rozczarowaniu słowem. O tym, jak łatwo i umiejętnie – a przy tym paradoksalnie – potrafi ono skazać na zapomnienie. Jak gładko, za pomocą zamkniętych, definiujących ostatecznie formułek i fraz, zaciera to, co najistotniejsze, stanowiące sedno poszczególnych istnień i zdarzeń.

Przedstawienie Łukasza Barczyka oglądamy na Scenie Kameralnej Teatru im. Stefana Jaracza. Na widownię wchodzimy wąskim i ciasnym korytarzem zbudowanym z regałów „na wysoki połysk”, wypełnionych szczelnie dziesiątkami książek. Wrażenie przestrzeni odgradzonej od reszty świata, uparcie hermetycznej wobec tego, co zewnętrzne, ustanawia ostentacyjny wręcz ciężar zabudowujących scenę mebli. Regałów z książkami bliźniaczych tym, które mijaliśmy, wchodząc na widownię, zasłaniających jeden z boków sceny, a w jej głębi rozdzielonych solidną, połyskującą politurą szafą. Scenografia do przedstawienia (Miroslaw „Mietek” Koncewicz) to również dwa lakierowane biurka ustawione w głębi sceny, zespolone grubym i długim blatem, oraz bordowy turecki dywan i ciężka pluszowa leżanka. Wszystko zatopione w mroku rozrzedzonym nieznacznie przez nikłe światło. I tylko jeden element scenografii wyłamuje się z tej ciasnej, ciężkiej masą mebli i rzędami książek, „domowej” kompozycji. To zawieszony nad sceną prago-

tron, paletowa tablica informacyjna, której podświetlone, obrotowe klapki układają się w trakcie spektaklu w wyrazy – swoiste (pod)tytuły kolejnych fragmentów przedstawienia. Pragotron stanowi tu rodzaj znaku. Przypomina o obecności świata zewnętrznego, który bohaterowie Barczyka zdają się (za pomocą różnych strategii) nieustannie omijać.

Reżyser zbudował swoje przedstawienie na fragmentach eseju Wichy, na których dokonał właściwie tylko jednej, ale stanowczej i znaczącej redukcji – ze swojej adaptacji wykluczył niemal całkowicie postać ojca. W olsztyńskim spektaklu w centrum przedstawianego świata od początku do końca usytuowana jest ona, Matka (Irena Telesz-Burczyk). Fizyczna nieobecność postaci w pierwszych fragmentach przedstawienia w żaden sposób nie umniejsza wrażenia jej absolutnej dominacji – tak w opowieści Narratora (Grzegorz Gromek), jak i w przestrzeni całej scenicznej rzeczywistości.

Fabularnie spektakl Barczyka da się streścić jednym zdaniem – syn, dojrzały mężczyzna, porządkuje przedmioty należące do swojej zmarłej matki. „Kiedyś sądziłem, że ludzi pamiętamy, dopóki możemy ich opisać. Teraz myślę, że jest odwrotnie: są z nami, dopóki nie umiemy tego zrobić” – mówi Narrator w pierwszych scenach przedstawienia. I nie bardzo wie, co począć z pozostawionymi przez zmarłą przedmiotami. Ale zarazem czuje, niemal instynktownie, że matowiejące od nieużywania kuchenne narzędzia, książki, niepotrzebne nikomu „sraty, graty, dupa w kraty”, bezpieczeństwa już duperele i klamoty mówią o Matce więcej niż jakakolwiek (i podjęta przez kogokolwiek)

próba opisania jej. Ta nieufność wobec słowa wyłożona zostaje w spektaklu Barczyka bardzo szybko. Klapki pragotronu ukazują hasło „Pani Mistrz”, na scenę wkracza pierwsza osobowa reprezentacja świata zewnętrznego, uderzająca brakiem empatii i bezlitosnym pragmatyzmem w intymność sytuacji pożegnania z najbliższym człowiekiem – ubrana w elegancki kostium pracownica zakładu pogrzebowego (Ewa Pałuska-Szozda), z którą bohater ustala szczegóły pożegnalnej ceremonii. W przesłanej mailem przez kobietę propozycji mowy pogrzebowej bohater natychmiast wyławia „łatwe przymiotniki” i „wytarte związki frazeologiczne”, na które Matka przez całe życie zaciekle polowała, bezbłędnie rozpoznając ich fałszujące właściwości. W tej scenie słyszymy dobiegający z offu głos Matki – narrację traktującą z góry wszelką ckliwość, „pogardzającą bezradnością”, zajadle (auto)ironiczną, brutalnie szczerą.

Dość szybko orientujemy się, że podjęte przez Narratora „porządkowanie” nie ma charakteru ceremonii pożegnalnej, nie jest próbą ostatecznego rozstania ze zmarłą. Przeciwnie, *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* to zapis swego rodzaju „dziadów”, gestu nawiązania relacji z permanentną (nie)obecnością. To próba pojednania. Z Matką, Narratora z sobą samym, ale też – może przede wszystkim – z tym, co zawsze tę dwójkę łączyło, choć nigdy nie zjednoczyło. Grany przez Grzegorza Gromka bohater, wyciszony, z ciałem wręcz skulonym w obliczu drugiego człowieka, uderza bezradnością, ale też i wpisany w fizyczność czy tembr głosu lękiem. Tego lęku początkowo nie łączymy zupełnie z postacią Matki, nie odnajdujemy go w anegdotach i historyjkach o ko-



biecie, która z kamienną twarzą terroryzowała despotyczne belferki i opryskliwych kioskarzy. Nie dostrzegamy go w kolejnych szkicach portretu kobiety, która „kiedy już chciała coś powiedzieć, nikt nie potrafił jej uciszyć”, która nieustannie walczyła ze światem za pomocą języka, słowa. Jednak z każdą kolejną sceną zaczynamy widzieć to, co nierozdzielnie łączy Matkę i Narratora, a co nigdy nie zostało przez nich wyraźnie i głośno wyartykułowane. Lęk, wstyd, (o)dziedziconą traumę.

Wyświetlane nad sceną hasła dzielą przedstawienie na szereg mikroopowieści. Dość szybko pojawia się w nich temat żydowskiego rodowodu rodziny Matki. Pochodzenia, które, jak wspomina Narrator, krewni i znajomi wstydlawie okrywali „uprzejmością, taktem, niechęcią do ostentacji”. Żydem się oczywiście było – ale „po cichu”, tak, aby świat wokół nie poczuł się „nieswojo”. To milczenie próbowała przerywać Matka. Prowokując, drażąc, manifestując. Dźgała świat słowem, budując jednocześnie wokół siebie i swojej rodziny barykady z niepotrzebnych po jej śmierci nikomu przedmiotów. Fechtowała się ze światem świadoma, że nigdy z nim nie wygra, bo nie ma w nim równoprawnego miejsca dla jej „rodzinnej przypadłości”. Drażący rodowe historie Narrator z rozpaczą rozrysowuje swój status bycia w świecie – w wiecznym rozkroku między milczeniem a słowną

szarpaniną, co obrazuje chociażby świetna scena rozmowy z pocztową urzędniczką (Ewa Pałuska-Szozda, reprezentująca w spektaklu wszystkie postaci z otaczającego Matkę i Narratora świata). Kafkowski klimat spotkania mrozi bohatera, wypycha w swoisty stupor, nakazuje wycofanie. Ale też prowokuje do słownych potyczek, tych, w których wiecznie miotła się Matka. Obie postawy znamionuje przejęty po Matce lęk – przed brakiem akceptacji, zrozumienia, przede wszystkim przed niemożnością wpasowania się w obowiązujące realia.

Bo przedstawienie Barczyka, prócz tego, że przejmująco opowiada o relacji mężczyzny i jego matki, mówi na temat wyjątkowo nieobecny. Jak mierzyć się z żydowską tożsamością dzisiaj? I dlaczego wciąż trzeba się z nią mierzyć, przyjmować jakąś strategię bycia – zamiast po prostu być? Barczyk, idąc śladami eseju Marcina Wichy, nie ujmuje tematu żydowskiego pochodzenia w kontekście historii, wojny. Pyta o możliwość jego istnienia dzisiaj i w oderwaniu od traumatycznej przeszłości. I odpowiada potwornie ironicznym i potwornie smutnym fragmentem prośby o książkę, „coś o Żydach, ale żeby nie było o holokauście”, prośby skwitowanej pytaniem: „To może Stary Testament?”. Zresztą książki, które z lubością kolekcjonowała Matka, a których po jej śmierci nie chce przygarnąć żaden antykwariat,

są tu wytrychem do jeszcze innego rozpoznania. Matka, z jej pochodzeniowym „kleksem”, z jej nieprzydatną w walce z milczeniem błyskotliwością i ironią, jest symbolem pokoleniowego wycofania polskiego inteligenta, który w konfrontacji z określoną rzeczywistością nie zawalczył odpowiednio i w czas. Zasłonił się tomiszczami Dąbrowskiej i Żeromskiego, odgrodził słowem okrytym „woodoodporną podszewką ironii”.

Teatralny język Barczyka udowadnia bardzo mocno głęboką lekturę eseju Wichy, ustrzeżenie się także przed wszystkimi zagrożeniami, które mogłyby adaptację *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* naruszyć czy podważyć – jest wolny od cikliwości, sentymentalizmu, patosu. To język powściągliwy, niepróbujący połączyć się na inscenizacyjne sztuczki, świadomy mocy materii, z którą ma do czynienia. Tę świadomość dzieli z reżyserem jego aktorski zespół: Ewa Pałuska-Szozda bardzo dobrze wcielająca się w spersonifikowane ekwiwalenty świata bohatera i jego Matki, świetny Grzegorz Gromek w roli Narratora oraz Irena Telesz-Burczyk, znakomita w kreacji obłaskawiającej genetycznie zapisany lęk Matki.

„I'm so tired” – rozdzierająco śpiewa do mikrofonu odprawiający „dziady”, opuszczony syn. „Obcinać końcówki bananów” – odpowiada mu Matka, która nigdy nie pozwalała kombinować ze słowami. ■

TEATR IM. STEFANA  
JARACZA  
W OLSZTYNIE

*Rzeczy, których  
nie wyrzuciłem*  
Marcina Wichy

adaptacja, reżyseria,  
kostiumy  
Łukasz Barczyk  
scenografia  
Mirosław „Mietek”  
Koncewicz  
muzyka  
Filip Szawernowski

prapremiera  
6 grudnia 2019

Scena zbiorowa,  
na pierwszym planie  
Grzegorz Gromek  
(Narrator)



fol. Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie